

Charlotte **LINK** Lisia dolina

fragment

Z języka niemieckiego przełożył
Dariusz Guzik



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Październik 1987

Chłopiec nie miał pewności, czy rzeczywiście dostrzegł lisa, czy może jakieś inne zwierzę, ostatecznie uznał jednak, że pewnie to lis, ta bowiem myśl spodobała mu się najbardziej. Sunął przez niewielką dolinę niczym płaski mroczny cień, pełził wśród traw, niskich krzewów, kamieni. Kiedy dotarł na drugi jej kraniec, do jedyne go miejsca, w którym doliny nie ograniczały łagodnie się wznoszące, porośnięte łąkami zbocza, lecz stroma skalna ściana, zagłębił się w gruzowisko kamieni i zniknął. Wydawało się, że w jednej chwili ściana go pochłonęła.

Chłopiec patrzył jak urzeczony. Wyglądało na to, że w skalnej ścianie kryje się wejście, szczelina na tyle szeroka, iż niewielkie zwierzę, choćby lis, bez trudu może się przez nią przecisnąć. Postanowił rozwikłać tę zagadkę. Porzucił rower w trawie i pobiegł w dół zbocza. Dobrze znał okolicę, często odwiedzał tę cichą, niewielką dolinę, choć żeby do niej dotrzeć, musiał pokonać na rowerze ponad pięć mil. Dolinę trudno było znaleźć, nie prowadziły do niej żadne drogi. I właśnie dlatego panował tu niczym niezłomny spokój. Można się było wylegiwać w słońcu albo przesiadywać na kamieniu, spoglądać w niebo i oddawać się własnym myślom.

Chłopiec dotarł do miejsca, w którym lis zniknął mu z oczu. Kiedy był młodszy, często wspinał się po tej skalnej ścianie, wyobrażając sobie, że zdobywa Mount Everest. Obecnie miał dziesięć lat i tego rodzaju zabawy wydawały mu się dziecinadą, dobrze jednak pamiętał dreszcz awanturniczej przygody, jaki przeszywał go na widok urwistego zbocza. Nigdy wszakże nie natknął się na żaden ślad pozwalający przypuszczać, że w ścianie znajduje się jakiś otwór.

Poczuł przyspieszone bicie serca, szukając wejścia wśród wysokich paproci rosnących tu w gęstych skupiskach i wciąż

jeszcze mokrych od padającego minionej nocy deszczu. Nie miał wątpliwości, że lis zniknął w tym właśnie miejscu. Chłopiec kopnął nogą w skałę. Oderwało się kilka kamieni i potoczyło w zarośla.

Jego oczom ukazała się skalna szczelina. Nie mógł jej wcześniej zauważyć, gdyż zasłaniały ją liście paproci, był to jednak spory otwór w ścianie. W każdym razie wystarczająco duży dla lisa. Chłopiec aż sapnął z przejęcia. Wsunął ramię w szczelinę, z obawą, że zaraz natknie się na jakąś przeszkodę, wydawało się jednak, że skała rzeczywiście kryje w sobie pustą przestrzeń.

Cofnął ramię, po czym ponownie, tym razem ze znacznie większą siłą, kopnął w skałę. Znów posypały się kamienie, wśród nich także grubsze odłamki. Otwór w ścianie nieco się powiększył. Chłopiec przykłęknął i dłońmi odgarnął na bok kamienie. Nigdy wcześniej nie zwrócił uwagi na to, że skalne fragmenty były w tym miejscu słabo z sobą związane. Czyżby ktoś ułożył je warstwami? Spojrzał w górę. Może dawno temu doszło tutaj do obsunięcia się ziemi, kawałki skały oderwały się i runęły w dół, zagradzając wejście do wnętrza góry.

Odgarnął dość kamieni, by odsłonić wejście do jaskini, przez które mógłby się przecisnąć. Odpoczywał przez chwilę, ciężko dysząc. Choć dzień był chłodny i wilgotny, bardzo się spocił. Przerzucanie dużych i ciężkich odłamków okazało się wyczerpujące. Do tego doszła jeszcze ekscytacja. Dygotał na całym ciele.

A potem wpełzł do środka.

Przecisnąwszy się przez otwór wejściowy, mógł się wyprostować. Dorosły człowiek musiałby pewnie pochylić głowę, lecz osoba w jego wieku miała miejsca pod dostatkiem. Kilka kroków dalej przejście się poszerzało, tworząc coś w rodzaju groty. Do wnętrza prawie nie docierało słoneczne światło, chłopiec ledwie mógł cokolwiek dostrzec. Ujrzał niewyraźny zarys ścian, po części skalnych, po części ziemnych, korzenie zwieszające się z niskiego sklepienia, strużki wody skapującej na podłoże

i wsiąkającej w gliniasty grunt pomiędzy otoczkami. Z powodu wewnętrznego napięcia oraz zachwyty ledwie mógł złapać oddech. Odkrył jaskinię. Pieczarę w skale, dostępną przez ukryte wejście, którego najwyraźniej nikt wcześniej nie znalazł.

Odwrócił się i zaczął przeciskać pomiędzy ścianami z powrotem ku wyjściu. Nie znalazł żadnego śladu lisa, być może jednak po prostu nie zdołał go dojrzeć w panujących wewnątrz ciemnościach. Musi niezwłocznie wrócić do domu i zabrać latarkę, a wtedy wróci tu i dokładnie zbada całą pieczarę. Zabierze też z sobą kilka przedmiotów – kolorowe ołówki, znaczki pocztowe, plastikowy kubek – i zostawi je we wnętrzu jaskini. Przeprowadzi test. Będzie zaglądał tu codziennie i sprawdzał pozostawione przedmioty. Jeśli nic nie zostanie naruszone, zyska dowód, że tylko on wie o istnieniu tej kryjówki.

Wydostawszy się na zewnątrz, najchętniej od razu pobiegłby po rower, opanował jednak emocje i zajął się najpierw ułożeniem kamieni i starannym zamaskowaniem wejścia. Przyniósł nawet wilgotnej ziemi i wypełnił nią wszelkie szczeliny, by nikt nie zauważył, że kamienie w tym miejscu luźno do siebie przylegają. Starał się także wyprostować zdeptane uprzednio liście paproci. Następnym razem musi uważać, musi poruszać się ostrożnie i zwinnie, by nie wydeptać wyraźnie widocznej ścieżki prowadzącej prosto do wejścia. Ta jaskinia ma pozostać sekretem, nikt inny nie może jej odnaleźć. Nikogo nie wtajemniczy w swoje odkrycie, nie powie ani matce, ani ojczymowi, ani nawet szkolnym kolegom. Nigdy nikomu nie wspominał o tym miejscu, do którego tak chętnie przychodził, teraz zaś zyskało ono dlań o wiele większe znaczenie.

„Moja dolina – pomyślał – moja jaskinia”.

Lis wskazał mu drogę, stąd też bezwiednie przemknęła mu przez myśl nazwa, jaką zamierzał nadać temu skrawkowi ziemi, należącemu wyłącznie do niego:

Fox Valley.

Lisia Dolina.

„Brzmi tajemniczo – pomyślał – wyjątkowo”.

Lisia Dolina.

Z zadowoleniem przyglądał się efektom swej pracy. Nikt nie zdoła rozpoznać, że skalna ściana kryje w tym miejscu szczelinę. Nikt nie zdoła odnaleźć jego kryjówki. On zaś będzie tu spędzał sporo czasu, może powiększy nieco przejście, umocni wewnątrz pieczary, stworzy sobie cudowne miejsce azylu, po wsze czasy.

Pobiegł po rower.

„Niedługo wrócę” – wyszeptał.

Sierpień 2009

1

Przez całą podróż z północy Walii na południe znów wiedli tę długą, wyczerpującą nerwowo i bezowocną dyskusję, w którą wciąż się wnikli w ciągu minionych tygodni. Gdy opuścili Pembrokeshire Coast National Park i dotarli do Fishguard, rozmowa zamieniła się w kłótnię. Może sprawy potoczyłyby się zupełnie inaczej, gdyby tylko spróbowali to sobie spokojnie wyjaśnić, gdyby jedno z nich zdecydowało się powiedzieć: „Nie psujemy tego uroczego dnia. Pomówmy o czymś innym. A wieczorem usiądziemy w spokoju, napijemy się wina i omówimy ten temat”.

Nie zdołali jednak przerwać tego zakłętego kręgu i wszystko zakończyło się tragedią. Nikt wszakże nie mógł tego przewidzieć. Kłótnia tliła się już od dawna, zdaniem Vanessy sprzeczała się w zasadzie o... *nic*. Matthew, jej mąż, pracował w firmie w Swansea, w której pisano programy komputerowe, cieszące się przez lata niezwykłą popularnością. W ostatnim czasie sytuacja uległa jednakże pogorszeniu, konkurencja urosła w siłę, walka na szybko zmieniającym się rynku zaostrzyła się. W firmie podjęto dyskusję o restrukturyzacji; pojawił się pomysł, żeby werbować młodszych pracowników innych firm i zastąpić nimi własnych ludzi, którzy w rzeczywistości okazali się nie dość konkurencyjni. Matthew był przekonany – Vanessa uznała to za jego *idée fixe* – że zostanie zwolniony. A przynajmniej przewidywał taką możliwość. Jako że tymczasem otrzymał propozycję pracy w pewnej firmie w Londynie, zastanawiał się, dlaczego by nie wyjść naprzeciw grożącemu niebezpieczeństwu, złożyć wypowiedzenie i przenieść się do Londynu.

– Bo nie dostaniesz na przykład odprawy – odparowała Vanessa.

– Okay. Ale co mi po pieniądzach, jeśli posada w Londynie będzie już zajęta, a ja zostanę bez pracy?

– Znajdziesz coś innego!

– A jeśli nie znajdę?

Problem krył się rzecz jasna gdzie indziej, problemem był Londyn. Vanessa pracowała jako wykładowca literatury na uniwersytecie w Swansea. Nie wyobrażała sobie, by mogła porzucić swoją pracę, zostawić studentów, całe dotychczasowe środowisko i ruszyć za mężem do Londynu tylko dlatego, że on chciał uniknąć wręczenia mu wypowiedzenia, które jak dotąd istniało wyłącznie w jego wyobraźni.

– Zachowujesz się jak jakiś pasza z poprzedniego stulecia – powiedziała ze złością. – Ty coś postanawiasz, a ja dzielnie podążam za tobą, dokądkolwiek tylko zechcesz. Lecz w dzisiejszych czasach nie można w ten sposób traktować partnerstwa. Nie przeniosę się do Londynu, Matthew. Choćbyś stawał na głowie!

Westchnął.

– Czy po piętnastu latach spędzonych w Swansea taka odmiana nie byłaby wskazana?

– Owszem. Ale nie akurat teraz. I nie dlatego, że tobie jest to na rękę!

Max, duży długowłosy owczarek leżący na tylnej kanapie, uniósł łeb i zaczął skamlać. Matthew zerknął w lusterko.

– Obawiam się, że trzeba wyprowadzić Maxa. Zanim dostrzemy do domu... Nie wytrzyma.

Vanessa nie odpowiedziała. Zaciśnęła wargi tak mocno, że zmieniły się w jedną białą kreskę. Po krótkim namyśle Matthew zjechał z głównej drogi i ruszył szosą prowadzącą z powrotem w kierunku Coast Park. Zapadał zmierzch, słońce wisiało nisko nad horyzontem. Ciepły, pogodny, cudowny wieczór sierpniowy. Żłocistoczerwone światło kładło się na polach. Dostrzegli

samotnego wędrowca, który wspinał się właśnie na okalające pastwisko ogrodzenie, poza nim jednak wokół nie było żywego ducha. Park narodowy, ciągnący się przez wiele mil wzdłuż wybrzeża, wrzynający się miejscami także daleko w głąb lądu, stanowił istny magnes przyciągający turystów. Latem kręciło się tu mnóstwo ludzi, pieszo, na koniach, rowerach górskich, głównie jednak po terenach przybrzeżnych. Z dala od morza natomiast można było wędrować całymi godzinami, nie napotykając po drodze nikogo.

Zjechali na niewielki parking, położony nieco poniżej poziomu drogi, z którego roztaczał się uroczy widok na okolicę. Stół z dwiema ławami oraz metalowy kosz na śmieci. Zupełnie pusty, najwyraźniej turyści rzadko tu zaglądali.

Matthew zatrzymał samochód.

– Chodź, przejdziemy się z Maxem. To nam dobrze zrobi.

Vanessa potrząsnęła głową.

– Idź sam. Potrzebuję trochę spokoju. Chciałabym przeżyć parę spraw. Zaczekam tutaj.

– Jesteś pewna?

– Tak.

Wysiedli. Uderzył w nich powiew ciepłego powietrza. Klimatyzację w samochodzie ustawili na dwadzieścia stopni, na zewnątrz musiało być około dwudziestu czterech. Świetlistego błękitu nieba nie przesłaniała ani jedna chmura. Był to jeden z owych letnich dni, o jakich człowiek marzy przez całą zimę.

Pamiętasz jeszcze tę wspaniałą sierpniową niedzielę? Ten opustoszały parking na krańcu świata... Nic, tylko spokój i ciepło...

Nie, nigdy nie będą snuć takich wspomnień, pomyślała Vanessa. Tę niedzielę zawsze będą pewnie kojarzyć z kłótnią. Jakkolwiek sprawy się potoczą, zapamiętają tylko długą podróż z Holyhead do Swansea, w trakcie której przez większość czasu dyskutowali. I to, że w końcu Matthew na spacer z Maxem poszedł sam, podczas gdy ona, Vanessa, została w samochodzie.

Była na niego tak bardzo rozgniewana, że nie miała ochoty iść razem z nim.

W pobliżu biegła wydeptana ścieżka, z początku prowadziła kawałek w dół ku dolinie, potem jednak skręcała ostrym łukiem w lewo wokół wzgórza, znikając z pola widzenia człowieka stojącego na parkingu. Vanessa obserwowała Matthew i Maxa, póki nie skryli się za zakrętem. Max, parę razy obejrzawszy się niespokojnie za swoją panią, pognął w końcu wielkimi susami naprzód, za nim powolnym krokiem podążał Matthew. Widząc jego wyprostowane ramiona, odgadła, jak bardzo był poirytowany. To oczywiste, że czuł się niezrozumiany. Sam jednak nie wykazywał ani krzty zrozumienia wobec innych. Prawdopodobnie nieprędko wróci ze spaceru z psem. Matthew zawsze potrzebował ruchu, kiedy był zestresowany, zazwyczaj wracał potem rozluźniony i z poczuciem odzyskanej równowagi.

Powoli podeszła do stołu, usiadła na drewnianej ławce rozgrzanej promieniami słońca. Przedwieczorne światło było już na tyle łagodne, że nie oślepiało. Spojrzała ponad płytką doliną, rozległą, pofalowaną i pełną zieleni. Wzdłuż jej północnego krańca ciągnął się kamienny mur, przylegała doń niewielka grupa drzew. Poza tym rosły tam jedynie niskie krzewy janowca, które przybrały obecnie barwę nieco zakurzonej zieleni. W kwietniu, w porze kwitnienia, cała okolica musi wręcz tonąć w powodzi żółtych płam.

Jakże tu ładnie! Vanessa pomyślała, że powinni tu częściej przyjeżdżać. Niektóre rejony parku narodowego rozciągały się w pobliżu Swansea, lecz na palcach jednej ręki mogła policzyć dni z ostatnich piętnastu lat, kiedy wybrali się razem z Matthew w te strony. I zawsze zatrzymywali się nad samym brzegiem morza, z myślą o kąpieli. Może na jesieni powinni zaplanować weekendową wędrowkę. Również Max się ucieszy, tak bardzo lubi spacerować. No cóż, może wówczas przygotują już przeprawę do Londynu.

Londyn.

„Nie chcę porzucać wszystkiego, co znajome – pomyślała – i nie chcę też weekendowego związku. Matthew w Londynie, a ja tutaj, w Swansea... Nie tak to sobie wyobrażałam...”.

Zastanawiała się jednocześnie, czy to kurczowe trzymanie się własnych przyzwyczajeń jest właściwą postawą dla trzydziestosiedmioletniej kobiety. Czy osoba w jej wieku nie powinna być bardziej energiczna? Elastyczna? Głodna nowych wrażeń?

Zaciekawiona?

Tak bardzo pogрузzyła się w rozmyślaniach, że prawie zupełnie zatraciła poczucie upływającego czasu. Dwa lub trzy razy usłyszała odgłos przejeżdżającego szosą samochodu, poza tym wokół panowała cisza. Kiedy w końcu zerknęła na zegarek i uświadomiła sobie, że Matthew i Maxa nie było już od dwudziestu minut, znów usłyszała nadjeżdżający pojazd. Zwolnił, gdy znalazł się na wysokości parkingu, po czym przyspieszył, by po chwili znów przyhamować. Vanessa odwróciła się, niczego jednak nie zauważyła. Parking oddzielał od szosy porośnięty krzewami pagórek, przejeżdżający samochód można było dojrzeć dopiero wtedy, gdy pokonał następny zakręt drogi. W tej właśnie chwili wyłonił się zza wzniesienia. Biały stary grat z jakimś napisem z boku, którego jednak z tej odległości nie zdołała odczytać. Vanessa zauważyła, że poruszał się bardzo wolno. Nagle na środku drogi zawrócił. Zniknął jej z pola widzenia, wciąż jednak słyszała jego turkot. Przejeżdżał właśnie obok parkingu, znów przyspieszył. I ponownie przyhamował. Vanessa zmarszczyła czoło. Czyżby znowu zawracał? Czemu ten samochód jeździ szosą tam i z powrotem? I czy to wciąż ten sam pojazd, którego odgłos już wcześniej kilkakrotnie słyszała, nie zwróciła nań jednak uwagi? Znów się zbliżał, zwalniał. Tym razem zjechał chyba na parking. Vanessa ponownie się obejrzała, niczego jednak nie dostrzegła. Usłyszała trzask zamykanych drzwi. Kierowca widocznie zaparkował na zjeździe, na sam parking nie wjechał. Pewnie chciał się szybko wysikać i zauważył, że na ławce siedzi jakaś kobieta.

Vanessa usiłowała zignorować ogarniający ją niepokój i spojrzała na dolinę.

„Matthew mógłby już powoli wracać” – pomyślała.

Chciałaby, żeby Max wyskoczył z zarośli, szczekając. Przydałby się jej teraz duży pies u boku. Jednocześnie pomyślała, że jest histeryczką. Tylko dlatego, że jakiś samochód przejechał kilka razy tam i z powrotem... Tylko dlatego, że w jednej chwili poczuła się tu sama jak palec...

Chociaż nie usłyszała żadnego dźwięku, pod wpływem nagłego przypływu irytacji odruchowo się odwróciła. Napęliło ją niewytłumaczalne poczucie zagrożenia, na całym ciele zjeżyły się jej włosy, mimo panującego ciepła po jej ramionach przeszedł dreszcz.

Tuż za nią stał jakiś mężczyzna.

Nie więcej niż dwa kroki od niej. Podszedł bezgłośnie.

Zerwała się z miejsca. Nie była pewna, czy wydała przy tym z siebie jakiś krzyk, być może.

Ten człowiek przejął ją grozą.

Prawdopodobnie zależało mu na ukryciu twarzy, pomimo bowiem bardzo ciepłego wieczoru miał na sobie czarną bejsbolówkę, naciągniętą głęboko na czoło, zupełnie nieprzezroczyste czarne okulary przeciwsłoneczne, a na szyi czarną chustkę, postawioną tak wysoko, że niemal zakrywała usta. Vanessa ujrzała właściwie tylko jego nos. Mężczyzna ubrany był w czarne spodnie od dresu oraz czarny golf. Założył też rękawiczki.

Vanessa przełknęła sucho.

– Czego...? – zaczęła.

Sekundę później mężczyzna wykonał błyskawiczny ruch w jej kierunku. Tak niespodziewany, że nie miała szans na obronę czy choćby zrobienie uniku. Do twarzy przytknięto jej coś wilgotnego, uderzyła ją ostra, przenikliwa woń, która podrażniła oskrzela i wywołała gwałtowny kaszel. Woń ta przyprowadziła ją o ból i nudności, w jednej chwili pozbawiła zmysłów.

Bezsilnie wywijała ramionami niczym zwiotczała gumowa lalka zawieszona na sznurkach. Potem straciła przytomność.

Zapadła w zupełną ciemność.

W niekończącą się noc.

2

Cały był zlany potem. Choć już dawno zdjął gruby sweter, czapkę, chustkę i rękawiczki i rzucił je gdzieś na tył samochodu. Wciąż miał na sobie spodnie od dresu, do tego biały podkoszułek na ramiączkach. I te swoje rozczłapane tenisówki.

Mimo to pocił się tak bardzo, że czuł stróżkę wody spływającą po plecach.

Spostrzegł, że jedzie zbyt szybko, gwałtownie zdjął nogę z gazu. Tylko tego brakowało, żeby akurat teraz złapał go policyjny patrol. Co prawda nie był pod wpływem alkoholu, być może jednak zapytano by go, dlaczego tego wieczoru wyruszył w drogę z zachodniego wybrzeża do Swansea. Choć przecież podróż taka nie budzi podejrzeń. Ani nie jest zabroniona.

„Rozluźnij się, Ryan – powiedział sam do siebie. – Spędziłeś niedzielę nad morzem, a teraz wracasz do domu. Nic w tym dziwnego”.

Mimo to zwolnił. I mimo uspokajających myśli nie przestawał się pocić, nie zdołał też zapanować nad przyspieszonym, mocnym biciem serca.

Od wielu dni usiłował zignorować wewnętrzny głos, napominający, przestrzegający, głos, który szeptał mu nieustannie, że w swych zamierzeniach zupełnie przecenia własne siły. Że uprowadzenie i szantaż przekraczają jego możliwości, i to dziesięciokrotnie. Ryan Lee nie miał u Boga czystej kartoteki, był dobrze znany policji, dwukrotnie został skazany za włamanie i pobicie. Co prawda wciąż usiłował zarabiać na życie uczciwą

pracą, za każdym jednak razem dziwnym trafem jego starania kończyły się niepowodzeniem. Zazwyczaj dlatego, że nie potrafił przywyknąć do porannego wstawania z łóżka i punktualnego pojawiania się w pracy. Dostawał wypowiedzenie i na powrót schodził na złą drogę. Z tego też względu życie poza granicą prawa albo na jego granicy było mu aż nazbyt dobrze znane.

Nie wszystkie złe drogi są wszakże jednakowo złe.

Ukraść parę komputerów ze sklepu z elektroniką, włamać się do samochodu, porwać starszej kobiecie torebkę albo wszcząć gwałtowną bójkę – to jedno.

Co innego jednak napaść na kobietę, ogłuszyć ją, uprowadzić i przetrzymywać w ukryciu po to, by zażądać od jej męża stu tysięcy funtów okupu.

Tyle rzeczy mogło się przy tym nie udać. Dostawał zawrót głowy, kiedy tylko, choćby przez sekundę, poddawał się własnym lękom. Oczywiście, natychmiast przekaże mężowi ostrzeżenie: żadnej policji! Wiele jednak przemawiało za tym, że ten od razu skontaktuje się z glinami. A wtedy on, Ryan, będzie miał przeciwko sobie nie tylko jednego człowieka, zszokowanego i wzburzonego, lecz także policjantów z całego regionu. W tej sytuacji najbardziej niebezpieczny będzie moment przekazania pieniędzy, nie ulegało bowiem wątpliwości, że właśnie wtedy spróbują go złapać. Jego jedynym atutem jest zakładniczka. Nie będą jej chcieli narażać na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

Spostrzegł, że jedzie zbyt wolno, zauważalnie za wolno, i znów nieco przyspieszył. Dłonie miał tak mokre, że niemal ślizgały się po kierownicy. Pomyślał o kobiecie. Miała na imię Vanessa. Doktor Vanessa Willard. Wykładowca uniwersytetu w Swansea. Skwapliwie podała mu swoje nazwisko oraz zawód, imię męża, wspólny adres w Mumbles, na przedmieściach Swansea. Numer telefonu. Wszystko, co tylko chciał wiedzieć. Wciąż czuła mdłości po chloroformie, nasączył nim chustkę, którą przytknął jej do twarzy, dzięki czemu przespała całą

godzinę. Bez większych problemów zawlókł ją do samochodu i wywiózł wiele mil dalej, w inne okolice. Bez *większych* problemów, choć trzy dni wcześniej, w czwartkowy wieczór, wdał się w ostrą knajpianą bójkę, po której nadal odczuwał piekielny ból w prawej ręce. Mimo to zdołał ją przenieść, pokonując ostatni odcinek drogi do jaskini. Najtrudniejsze okazało się wciągnięcie jej przez wąskie przejście do wnętrza skały. Mógł poruszać się jedynie mocno pochylony, nadto zapadł już zmierzch, do wnętrza nie docierał prawie żaden promień światła. Co prawda miał przy sobie latarkę, obie ręce miał jednak zajęte. Pierwszy błąd. W ramach przygotowań konieczne należało się zaopatrzyć w lampę czołówkę, jakiej używają górnicy.

Szybko się przekonał, że kwestia braku oświetlenia nie była jego jedynym błędem. Kiedy bowiem kobieta w końcu się przebudziła (i zwymiotowała, to skutek działania chloroformu), zaczęła wołać za mężem. Zorientował się wówczas, że mąż przebywał wtedy w pobliżu parkingu. Wyprowadził jedynie psa, owczarka, lada chwila spodziewała się jego powrotu. Przeszedł go zimny dreszcz, zaraz potem z przerażenia oblała go fala gorąca. Kiedy krążąc bez celu po okolicy, zauważył na parkingu samotną kobietę, kilkakrotnie przejechał szosą tam i z powrotem, by się upewnić, że nikogo nie ma w pobliżu. Poza tym sprawdził, iż rzeczywiście jest ona odpowiednią osobą do realizacji jego planu. Przekonało go duże drogie bmw, nadto styl, w jakim się ubierała: co prawda swobodny – miała na sobie džinsy i T-shirt – była to jednak owa zamierzona prostota, na którą trzeba wysupłać sporą sumę pieniędzy. Nie potrzebował milionerów, nie dla stu tysięcy funtów, nie mógł się jednak pomylić i przez przeoczenie trafić na klienta opieki społecznej.

„Ta jest doskonała, absolutnie doskonała” – zdecydował.

A potem zrozumiał, że omal nie został zaskoczony przez mężczyznę z owczarkiem. To właśnie od tamtej chwili, jeśli się dobrze zastanowić, zaczął się oblewać potem, i jak dotąd nie potrafił nad tym zapanować.

„Powinieneś być ostrożniejszy – powtarzał sobie w kółko – powinieneś bardziej uważać. Musisz być bardziej nieufny. O wiele staranniejszy”.

Vanessa wciąż siedziała w kucki w skalnej jaskini, zmagając się z mdłościami. Nadal była w stanie szoku, dlatego odważył się ją oswobodzić i zapalić latarkę. Naciągnął chustkę, zasłaniając sobie usta i nos. Vanessa rozejrzała się wokół, zrozumiała, że znajduje się pod ziemią, zauważyła też podłużną drewnianą skrzynię z otwartym wiekiem. Wybuchnęła złością. Na czworakach usiłowała dotrzeć do wyjścia, wrzeszcząc przy tym przeraźliwie i wierzgając niczym jakiś drapieżny kot, kiedy chwycił ją za prawą nogę. Wiedział, że w pobliżu nie ma żywego ducha, że nikt jej krzyku nie usłyszy. Wrzask zaczął go jednak denerwować. Był bardzo silnym mężczyzną, regularnie trenował muskulaturę. Kobieta nie miała większych szans, tym bardziej że środek odurzający nadal dawał się jej we znaki. Mimo to stawiała wyraźny opór. Broniła się jak oszalała, drapała, gryzła i tłukła pięściami. Ucieszył się, że ma na sobie całą tę maskaradę, dzięki niej nie będzie miał potem na ciele żadnych śladów krwi. Mógłby ją od razu pokonać jednym precyzyjnym ciosem pięści, wtedy jednak nie znał jeszcze jej nazwiska ani adresu. Potrzebował tych informacji, a trudno by je było wydobyc z nieprzytomnej. Nie chciał jej też krzywdzić, choć zadawała mu ból. Miał nadzieję, że cała ta historia szybko i gładko się zakończy.

Udało mu się ją chwycić za przeguby dłoni i w ten sposób nieco uspokoić. W jednej chwili zupełnie się załamała. W jej wybałuszonych, płonących oczach kryło się bezimienne przeżenie.

– Chcę pieniędzy – powiedział do niej. Jego głos, dobywający się spod grubej chusty, zabrzmiał w jego własnych uszach głucho i obco. – Tylko tego. Kiedy twoi bliscy zapłacą, natychmiast cię uwolnię. Czy samochód, którym przyjechaliście, należy do ciebie?

– Do mnie i mojego męża – odparła cichym, chrapliwym głosem.

Całe szczęście, że ma męża. W przeciwnym razie Ryan pewnie musiałby się zadawać z rodzicami albo rodzeństwem rozproszonym po całej Wielkiej Brytanii. Obecność męża wyjaśniała przynajmniej kwestię odpowiedzialności. W każdym razie nie spotkał go najgorszy z możliwych przypadków: gdyby kobieta była samotna i nikogo nie można by szantażować. Tego scenariusza Ryan najbardziej się obawiał.

– Jak się nazywa twój mąż? – zapytał.

Podjęła dwie daremne próby, nim zapanowała nad swym głosem. Krzyczała tak głośno, że zupełnie ochrypła.

– Matthew – wydobyła z siebie w końcu. – Matthew Willard.

– A ty jesteś?

– Vanessa. Doktor Vanessa Willard. Jestem wykładowcą na uniwersytecie Swansea. Nie zarabiam dużo.

– Gdzie mieszkacie?

Podala mu adres oraz numer telefonu. Wszystkie te informacje notował w pamięci. Zapisywanie ich wydało mu się zbyt niebezpieczne.

– My... nie jesteśmy milionerami – powiedziała. – Musiał mnie pan... z kimś pomylić.

Potrząsnął głową.

– Chcę sto tysięcy funtów. Twój mąż się o nie postara.

Sprawiała wrażenie zmieszanej. Z pewnością liczyła się z tym, że zażąda milionowego okupu. Skąd jednak miałyby znać wszystkie szczegóły i okoliczności?

Najtrudniejszy moment nadszedł wówczas, gdy jej wyjaśnił, że musi położyć się w skrzyni, on zaś zamknie wieko. Tym razem nie usiłowała uciekać, ale zaczęła gwałtownie dyszeć, na tyle intensywnie, iż w pierwszej chwili pomyślał, że dostała ataku astmy.

– Proszę – wyrzuciła wreszcie z siebie. – Proszę, nie! Proszę, niech mi pan tego nie robi, proszę! Proszę!

Zapewnił ją, że będzie jej tam dobrze.

– Jest wystarczająco dużo otworów wentylacyjnych. Masz latarkę. Włożyłem też czasopisma. Dość wody i jedzenia. Może twój mąż zapłaci już jutro. A wtedy natychmiast stąd wyjdiesz.

– Przecież jestem w jaskini, pod ziemią. Czy to nie wystarczy? Dlaczego...?

Wyjaśnił, że wejście do jaskini obłoży kamieniami, cierpliwą pracą byłaby jednak w stanie je odsunąć, a na to nie może pozwolić.

– Będę do ciebie codziennie zaglądał – obiecał. A jednak skłamał. Miejsce to dzieliła od Swansea zbyt duża odległość, obawiał się też ryzyka, że zostanie zauważony. Równie dobrze mógłby od razu przyprowadzić do swej kryjówki policję. W tej jednak chwili rozsądnie było powiedzieć jej kilka słów pocieszenia.

Kładąc się w skrzyni, rozpląkała się, drżała przy tym niczym osika. Słyszał jej łkanie, kiedy zabezpieczał wieko śrubami w sześciu nawierconych uprzednio miejscach. Na szczęście nie mogła zobaczyć, że sam przy tym dygotał. Poczuliaby jeszcze większy niepokój, widząc, że cała ta historia zupełnie go przeżyła.

Dotarł do przedmieść Swansea i zredukował bieg. Samochód należał do sieci pralni, w której od pół roku pracował. Wreszcie znów jakaś stała praca, aczkolwiek wyczerpująca i słabo płatna. Zajmował się odbieraniem rzeczy do prania z rozmaitych hoteli i restauracji w Swansea i okolicy, a następnie rozwożeniem ich wypranych i wyprasowanych. Oddano mu do dyspozycji biały samochód z napisem *Clean!* To była jedyna zaleta tego zajęcia: miał samochód na własność. Co prawda nie wolno mu go było używać do celów prywatnych – a uprowadzenie i przewożenie porwanej kobiety bez wątplenia do tej kategorii się zaliczało – jak dotąd nikt go jednak nie kontrolował, zawsze też po swoich wypadach uzupełniał bak i miał nadzieję, że nie zostanie przyłapany.

W ten niedzielny wieczór, tuż przed pół do dziesiątej, w Swansea panował niewielki ruch. Ryan bez trudu wjechał do miasta. Jak to często bywało w jego życiu, nie posiadał własnego mieszkania, zatrzymywał się to tu, to tam. Obecnie u Debbie, dziewczyny, z którą był przez kilka lat związany, zanim z nim zerwała z powodu jego permanentnej kolizji z prawem. Mimo wszystko pozostali sobie bliscy, dlatego też przyjęła go pod swój dach, gdy nie miał się gdzie podziać. Debbie pracowała na zmiany w firmie sprzątającej budynki i rzadko przebywała w domu.

Ryan wiedział, że również o tej porze nie zastanie Debbie w mieszkaniu, ponieważ w ten weekend przydzielono ją do pracy w sporym kompleksie budynków mieszczącym głównie kina i fast foody. Weźmie szybki prysznic i wypije piwo, może alkohol zdoła nieco uśmierzyć jego wewnętrzne napięcie, czającą się w nim panikę. Następnie pójdzie do budki telefonicznej i zadzwoni do Matthew Willarda. Oczywiście musiał się liczyć z tym, że Willard powiadomił już policję, nie zastawszy Vanessy na parkingu, przypuszczał jednak, że w tak krótkim czasie funkcjonariusze nie nadali jeszcze sprawie biegu. Czyż zgłoszeń o zaginięciu osób dorosłych nie rozpatruje się dopiero po upływie dwudziestu czterech godzin? Albo nawet czterdziestu ośmiu? A może to jedynie uporczywie podtrzymywana pogłoska?

Jego serce, które właśnie nieco się uspokoiło, znów zaczęło galopować w szaleńczym i nieregularnym rytmie. Nie pomyślał o tak wielu sprawach, do realizacji swego planu zabrał się jak kompletny dyletant. A jeśli policja jest już w domu Willarda? Jeśli zainstalowała już u niego urządzenie identyfikujące anonimowego abonenta?

Konieczne musi pamiętać o tym, by rozmawiać jak najkrócej. W żadnym razie nie mogą namierzyć budki telefonicznej, z której zadzwoni.

Poczuł mdłości, uświadomiwszy sobie, w jakie szaleństwo sam się wpakował.

Sądził jednak, że nie ma wyboru. Ściśle mówiąc, istotnie nie miał – Damon dwukrotnie przesłał mu wiadomość, że chce natychmiastowego zwrotu dwudziestu tysięcy funtów, które Ryan był mu winien. Następnie nasłał nań kilku osiłków, którzy mieli mu przypomnieć o zobowiązaniu w nieco inny sposób – po ich wizycie musiał wziąć dziesięć dni zwolnienia, gdyż prawie w ogóle nie mógł się ruszać. Znał Damona, wiedział, że nie popuści. A Ryan któregoś nieodległego już dnia wylądował głową w dół w portowym basenie w Swansea, to pewne jak amen w pacierzu. Był realistą, dobrze wiedział, że przed Damonem nie zdoła uciec. Dopadnie go w każdym zakątku świata. Damon był potężny, przebiegły i pozbawiony skrupułów. Nie wiedział, co to moralność, co to litość. I nie potrafił pogodzić się z porażką.

Damon był człowiekiem niezwykle niebezpiecznym. Ryan zrozumiał: musi zdobyć te dwadzieścia tysięcy funtów, to była jego jedyna szansa.

Równie dobrze mógłby się od niego domagać miliona. Zarówno jedna, jak i druga suma była dla Ryana całkowicie nieosiągalna.

Tak zrodził się plan uprowadzenia. Przypomniawszy sobie o jaskini w Lisiej Dolinie, którą odkrył w dzieciństwie, nie zaglądał do niej jednak prawie od dwudziestu lat. Kiedy znów się tam wybrał, stwierdził, że najwyraźniej nikt poza nim nie wiedział o jej istnieniu. Nie znalazł najdrobniejszego choćby śladu innych ludzi. Z pomocą dodatkowych, mozolnie zebranych kamieni doskonale zamaskował wówczas wejście – nie zamierzał tam oczywiście urządzać kryjówek dla ofiary uprowadzenia. Zwyczajnie spodobała mu się myśl, że jest na świecie miejsce, którego nikt inny nie zna, które należy tylko do niego.

Wszystko to doprowadziło obecnie do sytuacji, która nie miała nic wspólnego z jego niegdysiejszą dziecięcą radością z posiadania kryjówek. Jeśli coś pójdzie nie tak, znajdzie się na wiele lat za kratkami, to pewne. Jak dotąd zawsze mu się

udawało otrzymać karę w zawieszeniu. Śmiertelnie bał się więzienia. Nie miał jednak wątpliwości, że jego szczególnie sposób na życie któregoś dnia właśnie tam go zaprowadzi. Dlatego postanowił zażądać nie dwudziestu, lecz stu tysięcy funtów okupu. Dwudziestu potrzebował po to, by raz na zawsze uwolnić się z morderczego uścisku tego kredytowego rekina Damona, z którym lekkomyślnie wdał się w interesy. A pozostałych osiemdziesięciu, żeby zniknąć i ułożyć gdzieś sobie nowe życie. Życie, w którym nie będzie już żadnych bijatyk, żadnych kradzieży, żadnych oszustw. Co konkretnie chciał robić, tego jeszcze nie wiedział. Jednak owa szalona wprost świadomość, że posiada na własność *osiemdziesiąt tysięcy funtów*, napępiała go niesamowitym poczuciem absolutnej nietykalności. Z taką sumą pieniędzy człowiek jest pewny siebie. Staje na nogach. Ale nad tym nie musi sobie zawczasu łamać głowy. W tej chwili istniały rzeczy istotniejsze, na których musiał się skupić.

Tuż przed mieszkaniem Debbie rzadko kiedy można było znaleźć miejsce do parkowania, toteż Ryan zostawił samochód przy Glanmorgan Street i ruszył w dół Paxton Street. Nie przepadał za okolicą, w której mieszkała Debbie; czasem wydawała mu się naprawdę ponura. Nie ulegało jednak wątpliwości, że nie będzie wiecznie mieszkał kątem u swej byłej dziewczyny. Nawet jeśli nadal ją lubił.

Od razu wyczuł, że coś jest nie tak, skoro jednak brakowało jakiegokolwiek konkretnego powodu, by mieć złe przeczucia, uznał, że to tylko przywidzenie. Miał nieco nadszarpnięte nerwy, nic dziwnego, po wszystkim, co się tego dnia wydarzyło. Pewnie każdy, znalazłszy się w jego położeniu, byłby przewrażliwiony i wyczulony na najdrobniejsze nawet szmer.

A mimo to kryło się w tym coś dziwnego. Opustoszała ulica przed nim tonęła w mroku. W niektórych domach paliło się jeszcze światło. Nigdzie jednak nikt się nie pokazywał, wokół panował spokój, absolutna, martwa cisza. *Zbyt cicho* jak na tak

ciepły wieczór. Uniósł głowę, jakby coś wietrzył w powietrzu, niczym zwierzę na polowaniu.

„Do cholery, Ryan, uspokój się – mówił sam do siebie. – Czeka cię kilka piekielnie męczących dni, jeśli nadal będziesz tak wariował, najlepiej od razu zapomnij o całej sprawie!”.

Zmusił się, by podejść bliżej do budynku, w którym mieszkała Debbie.

Przez wszystkie te lata, w trakcie których poruszał się na granicy prawa – a często nawet *poza* nim – wykształcił w sobie umiejętność wyczuwania obecności gliniarzy na odległość. Dosłownie wietrzył ich zapach, gdy znajdowali się w pobliżu. Rzadko kiedy się mylił. Teraz jednak wmawiał sobie, że tym razem to jedynie złudzenie. Zrobił coś złego, lecz to po prostu niemożliwe, by policja już była na jego tropie. Nawet jeśli Willard zgłosił zaginięcie swej żony i narobił przy tym sporo hałasu, mało prawdopodobne, by od razu przyjęto wersję o uprowadzeniu. Czyż nie założono by raczej, że Vanessa Willard opuściła męża? Że pewnie uciekła z kochankiem?

Nagle przystanął, przez głowę przemknęła mu przerażająca myśl: „A co, jeśli ktoś cię widział? Jeśli ktoś obserwował, jak przenosisz do samochodu nieprzytomną kobietę?”.

„To niemożliwe” – pomyślał. Cały czas się rozglądał, ani na sekundę nie spuszczał z oka drogi i okolicy. Wokół nie było żywego ducha. Z drugiej jednak strony mówił sobie, że przed uprowadzeniem wszystko dokładnie sprawdził, a przecież tak łatwo przeoczył fakt, że w pobliżu Matthew Willard spacerował z psem.

Nieważne. To chybiona myśl, że mogliby już deptać mu po piętach. Jego napięte nerwy po prostu płatały mu figla.

Szedł dalej. Nie zwrócił uwagi na samochód zaparkowany przed budynkiem, w którym mieścił się przytułek dla bezdomnych, choć w miejscu tym obowiązywał zakaz postoju. Nagle ogarnął go jednak dziwny niepokój. Raz jeszcze się odwrócił i zauważył, że ten samochód nie był pusty, jak inne pojazdy stojące wzdłuż całej ulicy na wyznaczonych miejscach parkin-

gowych. Wewnątrz siedziało dwóch mężczyzn. W tej sekundzie Ryan zrozumiał, że jego przecucie czającego się niebezpieczeństwa wcale nie było złudzeniem.

Odwrócił się na pięcie i pognał w dół ulicy. Usłyszał trzask zamykanych drzwi samochodu, a po nim okrzyk: Stój! Stój! Policja!

Nie przejął się tym. Biegł dalej, słysząc za plecami odgłosy kroków. Ścigali go. Zobaczymy, kto lepiej zna okolicę.

Na końcu ulicy skręcił w lewo w Oystermouth Road, wiedział jednak, że nie znajdzie tam żadnej kryjówki. Nie będzie też mógł przebiec na drugą stronę, tam bowiem zaczynały się ogromne parkingi, do których przylegała marina. Zanim dotarłby do portu, musiałby pokonać spory dystans w otwartym terenie. Musiał spróbować oddalić się od nabrzeża i przedostać do centrum miasta, by tam poszukać jakiegoś schronienia. Biegł szybko, wiedział o tym, w końcu nie jeden raz zgubił najbardziej nawet zawziętych prześladowców. Był w świetnej kondycji, potrafił kluczyć, znał Swansea jak własną kieszeń. Ten cholerny policjant deptał mu jednak po piętach, choć przecież musiał najpierw wysiąść z samochodu, Ryan od początku miał nad nim znaczną przewagę. I przewaga ta w zatrważająco szybkim tempie topniała.

Ryan przyspieszył kroku. Trochę sapał, lecz jeszcze niezbyt gwałtownie. Potwornie bolało go ramię, które dostało za swoje podczas ostatniej bójki, nie zwracał jednak na nie uwagi. Skupił się teraz całkowicie na drodze ucieczki, zbyt dobrze orientował się w sytuacji, by wiedzieć, że nie wolno mu tracić energii na rozważania o tym, co się właściwie stało. A jednak pytanie to świdrowało mu w głowie, pytanie uporczywe i niedające się stłumić: *Jak to się mogło stać? Jak to się mogło stać?*

Nie zdołał zachować bezpiecznego dystansu do swego prześladowcy, wręcz przeciwnie, wydawało się, że ścigający go policjant biegnie coraz szybciej. Skąd, do cholery, wytrzasnęli takiego sprintera? I gdzie się właściwie podział ten drugi gli-

niarz? W samochodzie siedziało dwóch ludzi. Prawdopodobnie już dawno został daleko w tyle.

Dziarskim zwodem, którego nie zasygnalizował wcześniej ruchem ciała, Ryan skręcił w lewo, szczupakiem przeskoczył siatkę ogrodzeniową i wydostał się na Recorder Street, która wraz z Oystermouth Road okalała czworobokiem domy i niewielkie ogródki za budynkiem, w którym mieszkała Debbie. Nie był to wariant optymalny, nigdy by go nie wybrał, gdyby pogoń nie była tak blisko. Po jego prawej stronie, za West Way, znajdował się ogromny parking przed Tesco, który o tej porze, w niedzielny wieczór, mocno opustoszał, nie dając możliwości ukrycia się. Musiał czym prędzej znaleźć jakieś podwórze na tyłach domów i skacząc po murach, dachach szop i ogrodowych altan, spróbować przechytrzyć gliniarza. Kiedy uda mu się go zgubić, trzeba będzie znaleźć jakąś kryjówkę. Wtedy przyjdzie czas na chwilę zastanowienia co dalej. Trzeba będzie zarzucić plan uprowadzenia, to oczywiste, musi jak najszybciej uwolnić Vanessę Willard, a potem...

Jakiś cień wynurzył się przed nim tak niespodziewanie, że Ryan nie zdołał ani się zatrzymać, ani go wyminąć. Zderzył się frontalnie z człowiekiem, który nagle wyłonił się z wąskiego przejścia pomiędzy domami. Kiedy obaj upadli na ziemię, usłyszał głos drugiej postaci, mówiący „Policja!”. Ryan zrozumiał wówczas, że tym razem zdecydowanie nie docenił swych przeciwników i był to jego najgłupszy błąd w ciągu ostatnich dwunastu godzin. Jeden z nich biegał szybciej niż mogło się wydawać, drugi zaś najwyraźniej doskonale się orientował w okolicy, wiedział nawet, że przez ogródki na tyłach domu Debbie można się było wydostać wprost na Recorder Street. Wspólnymi siłami zapędzili go w pułapkę, w którą właśnie wpadł. Wykręcono mu ramię na plecach i powoli postawiono na nogi. Kajdanki owinęły się wokół jego nadgarstków.

– Rianie Lee, jest pan tymczasowo aresztowany. Jest pan podejrzany o ciężkie uszkodzenie ciała.